



GŁOS POCIESZENIA



Ukazuje się od 1988r.

Pismo Parafii Świętego Klemensa Dworzaka przy Alei Pracy 26 we Wrocławiu
numer specjalny - JEZUICI - maj 2009



*Święty Stanisławie Kostko
opisany w książkach
żyłeś krótko Jezusem przejęty
jak mało nieraz czasu
żeby zostać świętym*

śp. o. Stanisław Tabiś SJ
23.09.1963 – 18.05.2009

ks. Jan Twardowski

Ojciec Stanisław Tabiś SJ



Urodził się 23 września 1963 roku w Ciężkowicach (diec. tarnowska). Ukończył liceum ogólnokształcące w Bobowej i, po zdaniu egzaminu dojrzałości, 21 sierpnia 1982 roku wstąpił do nowicjatu Towarzystwa Jezusowego w Starej Wsi. Pierwsze śluby zakonne złożył 26 sierpnia 1984 roku na ręce ówczesnego rektora starowiejskiego o. Edmunda Oleszczaka. Po nowicjacie studiował filozofię w Krakowie (1984-1987), po czym przez rok przebywał na magisterce w Gliwicach (1987-1988), gdzie pomagał przy parafii oraz katechizował. W 1988 roku rozpoczął studia teologiczne w Warszawie, gdzie przebywał w latach 1988-1991, a następnie kontynuował studia na ATK w Katowicach (ukończył je w roku 1993). 29 czerwca 1991 roku w Krakowie przyjął święcenia diakonatu, a rok później, 29 czerwca 1992 roku abp Adam Kozłowiecki udzielił mu w Nowym Sączu święceń kapłańskich. Po święceniach diakonatu został skierowany na placówkę do Czechowic-Dziedzic, gdzie pracował przy parafii oraz uczył religii. Przebywał tam do roku 1996, po święceniach kapłańskich pełniąc obowiązki wikarego, a od 1995 roku pełniąc także posługę ministra. W 1996 roku został przeniesiony do Bytomia, gdzie był operariuszem i katechetą. W 1999 roku został skierowany do Wrocławia, do domu przy Alei Pracy. Do wspólnoty tej należał aż do swojej śmierci. Przez kolejne lata był tam wikarym, katechetą, w latach 2004-2005 ministrem, a potem ekonomem domu. W ostatnim roku wiele czasu spędził w szpitalu. Zmarł po ciężkiej chorobie w szpitalu w Katowicach 18 maja 2009 roku.

Małe radości o. Staszka

Myślę, że Ksiądz Tabiś to był trochę taki człowiek konkretny. Bardzo mało ingerował w to, co się wewnątrz zespołu dzieje. Nie wtrącał się w repertuar (no może czasem coś sugerował), próby, ogólną organizację - to zawsze należało do nas. Wysłał mnie, Sylwię i Agnieszkę R. na Kamuzo (kurs na animatorów muzycznych). Potem chyba żałował, bo wróciliśmy gotowe zreformować śpiew na mszach młodzieżowych. A on tylko skwitował: „nie bądźmy bardziej papiescy od papieża” i na tym się skończyło.

Powiedział mi całkiem niedawno, że to dobrze, że jesteśmy nieco zwariowani, że nie traktujemy wszystkiego z należytą powagą sytuacji. Stwierdził, że w ten sposób odreagowujemy trud wspólnego grania. Mówił, że musimy się bardziej modlić za siebie nawzajem, bo to bardzo pomaga w byciu razem we wspólnocie (graniu pewnie też).” *Ewa*

Zawsze nam powtarzał, ale to zawsze, że- byśmy popatrzeli, jak jest w nas wiele dobra, nie tylko na kazaniach, mi przy każdej spowiedzi, kiedy ja zwykle myślałam o sobie, że jestem beznadziejna.”

Miał swoje sposoby, by egzekwować posłuszeństwo. Najbardziej niebezpiecznym i ostatecznym, którego wszyscy się bali, była akcja: powiedzieć do słuchu, obrazić się, wyjść i trzasnąć drzwiami! Ostatecznie wszyscy coś mamrotali pod nosem, że jak się dorosły Ojciec może tak zachowywać, ale potem chodzili jak w zegarku, nikt nie chciał mieć z Ojcem na piętku. *Gosia*



I oczywiście pamiętam małe radości Ojca Staszka na oazie - puszczanie znieca przez głośniki o poranku (błędny!) radosnych melodii, czy wręcz nagłe wyrwanie ze snu głośnym „Pobudka!”. Potrafił też zwracać się po imieniu do konkretnych osób przez głośniki, które oczywiście było słycać we wszystkich pokojach. Pamiętam, jak kiedyś nie zdążyliśmy w Bydlinie z meczu siatkówki na pogodny wieczorek i Ojciec Tabiś zamknął drzwi, i powiedział, że nikogo nie wpuści - zrobiliśmy wtedy z Bielem konkurencyjny wieczorek na korytarzu. *Agatka*

Fragmety wpisów na internetowym forum zespołu „Clemensianum” (www.clemensianum.livenet.pl)

Stasiu kochany...

...kiedy w zeszły czwartek, czyli na cztery dni przed Twoją śmiercią, zagnałeś się ze mną telefonicznie, to poprosiłeś żebym powiedział kazanie na Twoim pogrzebie. Odpowiedziałem, że powiem, i powiem, bo obiecałem, ale to nie będzie kazanie, bo kazanie i mnie i nam wszystkim to Ty powiedziałaś przez długie lata Twojej choroby i przez Twoje przeżywanie tej choroby i śmierci, przez Twoje bycie księdzem w chorobie i śmierci. Nie powiem więc kazania. Chcę tylko dzisiaj z Tobą i za Ciebie wspólnie się modlić; z Tobą i za Ciebie Panu Bogu dziękować. Takie właśnie będzie to moje kazanie na Twoim pogrzebie i mam wielką nadzieję, że mnie zrozumiesz, jak zawsze rozumiałaś. Inaczej bym nie umiał.

Chcę więc, abyśmy to nasze wspólne wołanie do Pana Jezusa zaczęli od modlitwy, którą Ojciec Staszek niejako sam wymyślił i przez ostatnie tygodnie swojego życia praktykował. Kiedy na skutek długotrwałej niewydolności jego wątroby, a potem na skutek długotrwałego zażywania leków poprzeczczepowych w jego kościach nastąpił gwałtowny proces osteoporozy i kości stały się kruche, kręgosłup popękał mu w paru miejscach. Spowodowało to straszny ból. Na skutek tego bólu nie mógł leżeć, nie mógł chodzić, nie mógł się swobodnie poruszać. Nie mógł się też spokojnie modlić. I kiedy byłem u Niego w poprzednią niedzielę, na tydzień przed śmiercią, mówił mi: *Wiesz, Wojtek, jedyne modlitwę, którą się modlę, to jest modlitwa kości – jak u Ezechiela. Tak ją sobie nazwałem. Wiesz, ja już nic nie umiem mówić, więc nic nie mówię, nic nie robię, tylko kładę przed Panem Bogiem moje kości.*

Panie Jezu, my też kładziemy dzisiaj przed

Tobą martwe, suche, pokruszone przez chorobę kości naszego współbrata Ojca Staszka. Podobnie jak On, my też nie możemy nic więcej zrobić. Ale w całej tej naszej bezradności z tym większą ufnością kładziemy Jego martwe kości przed Tobą, licząc – jak Ezechiel – na to, że znów ożyją. Gdzieś tam w głębi duszy liczymy, mamy nadzieję i mówimy: *Niech znów ożyją kości, któreś skruszył.* Panie Jezu, nie wiemy, dlaczego nie pozostawiłeś Staszka przy życiu. Jak mówi Ezechiel: *Ty to wiesz*, ale wiemy, że przecież takiej pokornej modlitwy suchych, pokruszonych kości, jaką Ojciec Staszek do Ciebie zanosił i którą my dzisiaj do Ciebie kierujemy, że takiej modlitwy nie możesz nie wysłuchać. Nie wiem jak, nie wiem, w jaki sposób, ale przecież nie możesz nie wysłuchać tej bezradnej, pokornej modlitwy pokruszonych kości, zanoszonej do Ciebie przez Staszka i przez nas, tak samo bezradnych i tak samo kruchych, a przecież bardzo się starających, żeby Ci ufać, żeby być pokornymi wobec Ciebie.

Panie Jezu, powierzając w Twoje ręce Ojca Staszka, chcemy Ci też dziękować za dar Jego życia. Chcemy Ci dziękować, żeś nam Go dał. Jednym jako syna, innym jako brata, jeszcze innym jako

współbrata, jeszcze innym jako ojca, jako duszpasterza, jako przyjaciela.

Chcemy Ci podziękować przede wszystkim za wielką lekcję pokory, jakiej nam Staszek udzielił przez wszystkie długie, długie lata swojej śmiertelnej choroby. Przez pokorne znoszenie coraz to nowych ograniczeń życiowych, jakie ta choroba na Nim wymuszała; przez bardzo cierpliwe znoszenie kolejnych miesięcy i kwartałów pobytu w szpitalu, ale też, może przede wszystkim, przez ocaloną w przeciągu wszystkich tych lat pogodę ducha i takie wielkie, czyste, chciałoby się powiedzieć, nieskażone pragnienie życia. Kolejni lekarze, którzy zajmowali się Ojcem Staszkiem, mówili zawsze to samo: *Jest w nim wielkie pragnienie życia, nie spotykane. Z tak poważnie chorymi to zwykle można rozmawiać tylko o ich chorobie i o śmierci, a On gdy się tylko trochę lepiej poczuje, to od razu zaczyna snuć plany na przyszłość, to od razu zaczyna zapominać o sobie i myśli o innych.* Zresztą nie musieli nam tego mówić lekarze. Widzieliśmy to wszystko bardzo dobrze tu, w tym domu, tu, w tej parafii. Choć ledwie szurający nogami, choć z wbitym w ramię wenflo-nem, choć żółty, brązowy na twarzy, choć usztywniony przez gorset, kiedy tylko przestawało Go strasznie boleć, od razu planował kolejne przedsięwzięcia, od razu włączał się w nurt życia, od razu umawiał się na kolejne spotkania z młodzieżą, z dorosłymi. Zawsze z taką samą, chciałoby się powiedzieć, niezwyciężoną nadzieją, z tą samą, niezwyciężoną pogodą ducha.

Choć zawsze miał w sobie dużą niepewność, duży lęk i jakoś tak mocno wypisany na twarzy cień śmierci, to umiał zapominać o sobie. Mimo choroby, mimo cierpienia, umiał zapominać o sobie, a żyć życiem innych: rodziny przyjaciół, współbraci, parafii, ludzi, z którymi pracował.

Kochani, tylko ktoś pokorny umie tak żyć i tylko Ty, Panie Jezu, wiesz, ile Go kosztowało odchodzenie od tego wszystkiego, w co wkła-



dał serce; ile Go kosztowało to odchodzenie, które wymuszała na Nim choroba. Tylko Ty, Panie Jezu, wiesz, jak bardzo nie umiał odchodzić od młodzieży, od duszpasterstwa, od zaangażowania kapłańskiego. Jak bardzo nie umiał odchodzić, a z drugiej strony, jak bardzo chciał się tego uczyć. To też jest bardzo wielka lekcja pokory, którą nam dał, za którą też dziękujemy.

Panie Jezu, chcemy Ci też dzisiaj, przy Jego pogrzebie, podziękować za wieloletni przykład Jego gorliwości. „Gorliwy” to jest pierwszy przymiotnik, jaki przychodzi do głowy, kiedy chce się cokolwiek powiedzieć o Staszku jako o jezuitce, jako o księdzu. Gorliwy to znaczy nie oszczędzający siebie. Gorliwy to znaczy nie żałujący czasu i sił dla ludzi, z którymi pracował. Gorliwy to znaczy żyjący ich problemami i starający się je rozwiązać. Ilu by tu było takich, którzy mogliby opowiedzieć o tym wszystkim w pierwszej osobie, z własnego doświadczenia. Gorliwy – tak zapamiętano Go wszędzie tam, gdzie był: i w Czechowicach, i w Bytomiu, i w Opolu trochę,

i tu, w tej parafii, w której pracował tak długo. Jako gorliwy zostanie zapamiętany przez młodzież, którą bardzo kochał i której starał się oddawać życie najpierw w Oazie, a potem w MAGIS-ie, którego był współtwórcą. Zresztą przez te poprzednie dni, wczoraj i przedwczoraj, żegnaliście Go na wieczornych Mszach Świętych, na specjalnie przygotowanych koncertach.

Był również gorliwym współbratem, jeżeli tak można powiedzieć. Współbratem żyjącym wspólnotą tak do ostatniego szczegółu. Wszystkowiedzący, wszystkim się interesujący, wtykający nos we wszystko i wszystko zauważający. Zwracający uwagę na to, że ktoś się źle czuł, ale i na to, że serwetki powinny być czerwone, a nie niebieskie, bo lepiej pasują i że takie szmatławe zasłonki nie powinny wisieć, i że trzeba te kwiatki wymienić, bo już podwiędły. Bardzo się cieszył i bardzo był

wdzięczny tutejszej wspólnotce. Dwa tygodnie temu, 5 maja, dzwonił do mnie, mówiąc: *Wiesz, będę miał pokój z łazienką. Bardzo się cieszę. No i słuchaj, ten pokój będzie na parterze i nie będę musiał chodzić po schodach.* Był wspólnie bardzo wdzięczny.

Miał też swoje liczne grzechy. Skąd to wiem? Ano stąd, że my, jezuitki, to jesteśmy ludzie grzeszni, ale nie wiedzieć czemu, bez żadnej naszej zasługi, powołani przez Pana Jezusa, żeby być Jego towarzyszami. Staszek nie był tutaj wyjątkiem. Też był grzesznikiem. Ale widziałem z bliska, że z biegiem lat coraz bardziej był świadomy własnych grzechów i coraz większą miał zdolność do przyznawania się do nich. Kiedy rozmawiałem z nim



po raz ostatni, powiedział: *Pamiętaj, żebyś na pogrzebie przeprosił wszystkich, których skrzywdziłem: czy to świadomie, czy nieświadomie.* No więc przepraszam w Jego imieniu, ale jednocześnie jako Jego współbrat i jako prowincjał bardzo dziękuję Panu Bogu, że nam dał takiego współbrata. Bo pobłądzić to nie wstyd, a w obliczu własnej bliskiej śmierci umieć się przyznać do pobłądzenia, umieć przeprosić, to jest wielka rzecz.

Dobrze, ktoś powie, ale skoro tak, to czemu tak cierpiał, to czemu miał tak ciężką śmierć, czemu taką niespokojną. To tylko Pan Bóg wie. My wiemy, że gdyby to zależało od gorliwości, to Staszek by nas wszystkich przeżył. Widać jednak, że Pan Bóg ma jakieś inne rachunki. Jakież? Nie wiem, nie chcę Pana Boga tłumaczyć. Natomiast kiedy sam widziałem, a potem od moich współbraci z Alei Pracy i od

opiekujących się Staszkiem, nieustannie i najczulej, Jego siostr słyszałem, jak bardzo cierpi, jak bardzo walczy, jak bardzo krzyczy, to się przecież nie dziwiłem ani nie gorszyłem, to mi się stawał tym bardziej bliski. Dlaczego? Bo to był facet, który walczył do końca, który się nie poddawał, który z wieloma rzeczami w życiu się nie zgadzał, ale który Pana Boga traktował na serio i dlatego do Niego krzyczał, i dlatego się tak szarpał. Jak psalmiści. Jak ktoś nie wie, niech poczyta, jak psalmiści przeklinają dzień własnego urodzenia i wyrzucają Panu Bogu brak miłości, brak opieki nad nimi, ale to wszystko kierują do Niego, bo Go traktują na poważnie. Ojciec Staszek też się szarpał i krzyczał, bo się ze swoim umieraniem nie godził, ale

w tej niezgodzie była wielka wiara, wyrażająca się w tym, że to wszystko kierował do Pana Boga. Tylko to się liczy. Pan Bóg to doceni. Już docenił. Staszek się szarpał tak jak małe dziecko, które płacze i którego nijak nie można utulić, ale które w pewnym momencie z tego płaczu, z tego bólu, z tego szarpania tak gwałtownie zasypia. Staszek już zasnął,

już jest utulony, już jest w ramionach Ojca. Jak napisał inny z naszych współbraci śp. o. Stanisław Musiał: „Nieważne jak umrę. Pięknie czy prozaicznie, budująco czy z przerażeniem w oczach, jako grzesznik czy z wszelkimi możliwymi biletami do nieba. Nieważne. Ważne, żeby Chrystus zamknął mi oczy”. Panie Jezu, wierzymy, że w poniedziałek o godz. 5.07, po uprzednich odwiedzinach rodziców, przy czule opiekujących się siostrach i wzruszonej tą śmiercią pani doktor to Ty właśnie zamknęłaś oczy Ojcu Staszekowi. Prosimy Cię, naucz nas żyć szczerze i umierać szczerze przed Tobą.

Na koniec jeszcze taki osobisty wątek, który, w świetle tej dzisiejszej Ewangelii, jest aktualny dla nas wszystkich tutaj obecnych. Stasięńku kochany, znamy się od 27 lat. W jednym roku wstąpiliśmy do Towarzystwa, razem mieszkaliśmy w no-

wicjacie, razem mieszkaliśmy przez dwa lata na filozofii, razem odbywaliśmy magisterkę w Gliwicach, razem byliśmy święceni w Nowym Sączu. W czasie studiów teologii, w czasie początkowej pracy duszpasterskiej nasze drogi na parę lat – czyli na chwilę, jak mówi dzisiejsza Ewangelia, się rozeszły, ale we wrześniu 2005 r. znów się zbiegły. Znów zamieszkaliśmy pod jednym dachem, mając pokoje naprzeciw siebie. Tu, we Wrocławiu, przy Alei Pracy. Słyszeliśmy nawzajem, jak któryś z nas wchodził czy wychodził, jak rozmawiał przez telefon czy słuchał muzyki. Twoja choroba bardzo nas do siebie zbliżyła, a to dlatego, że pozwoliłeś mi być blisko, kiedy było Ci źle. O wielu rzeczach mi mówiłeś. Dowiedziałem się przy Tobie, co to jest bilirubina i co to są transaminazy; dowiedziałem się, co to jest endoskopia i co to jest spirometria, dowiedziałem się, co to jest Encorton i Neoral. I chociaż nic z tego nie rozumiałem, to zawsze byłem Ci bardzo wdzięczny, że mi o tym wszystkim mówiłeś, bo odbierałem to jako wyraz zaufania bardzo mnie zobowiązującego. We wrześniu zeszłego roku żegnałeś mnie w tym kościele, kiedy po nominacji Ojca Generała odchodziłem do Krakowa. Bardzo liczyłem wtedy na to, że ja nie będę musiał Ciebie żegnać jako Prowincjał. Niestety, 18 maja 2009 r., czyli w ostatni poniedziałek o godz. 5.07 nasze drogi znów się rozeszły. Ale Stasińku, i Ty wiesz, i ja wiem, że tylko na chwilę. Nie wiem, ile ta chwila będzie trwała, bo to tylko Pan Bóg wie, ale ile by nie było, to tylko na chwilę. Spotkamy się znów. Kiedy podczas ostatniej rozmowy mi mówiłeś, że wszystkie cierpienia, wszystko, co masz, ofiarowujesz dla zakonu, to chcę Ci dzisiaj powiedzieć, że bardzo Ci za to dziękuję i bardzo Cię proszę, żebyś nie przestawał pamiętać i o mnie, i o nas; żebyś się za nas modlił; żebyś tam wszystko przygotował. Żeby nie było brudnych obrusów i żeby nie było szmatławych zasłonek w oknach, i żeby przy Matce Bożej stały świeże kwiaty.

Dzisiaj jest czterdziesty dzień po Wielkanocy, dzisiaj jest Wniebowstąpienie. Bardzo ufam, że to jest również Twoje wniebowstąpienie. Bardzo ufam, że Ojciec, któremu służyłeś, przygarnął Cię już do siebie. Panie Boże, Panie Jezu, Duchu Święty przyjmijcie swego gorliwego sługę. Amen.

Dziopy, to nie po Bożemu!



Kilkunastoletni Staszek Tabiś, biegając wraz z siostrami (a miał ich aż pięć) i innymi dziećmi z sąsiedztwa po polu, na którym żniwiarze świeżo poustawiali snopki w kopki, próbując je odwieść od zabawy polegającej na przewracaniu tychże, mówił: „Dziopy [tak się mówiło w Ciężkowicach do dziewcząt], to nie po Bożemu!”. Wysoki swoich siostr temprował znacznie częściej, a czasami nawet brał za nie razy, bo... jemu jakoś tak bardziej rodzice byli skłonni wybaczać.

Kiedy 6-letniemu Staszekowi pies poważnie poranił twarz i odgryzł kawałek ucha lekarz musiał mu je przyszywać „na żywcą” – bez znieczulenia. Ojciec trzymał go bardzo mocno, żeby z powodu bólu się nie rzucił. Już po zabiegu malec powiedział do niego: „Po coś mnie trzymał, sam bym się utrzymał”.

Podczas ciężkiej choroby – dolegliwości związanych z pracą serca, gdy w jego otoczeniu mówiło się, że jest z nim źle, 10-letni Staszek w pewnym momencie powiedział do siostr i rodziców: „Wybaczcie mi, co złe zrobiłem”.

Gdy ksiądz katecheta podczas rekolekcji w II klasie szkoły podstawowej zapytał uczniów, kto chce być księdzem, jedynym który podniósł rękę był Staszek Tabiś. Kiedy jednak dużo później przyszło oznajmić rodzinie o decyzji pójścia

drogą kapłańską, choć w klasie maturalnej był na dniach skupienia u jezuitów – było to dla wszystkich ogromnym zaskoczeniem – powiedział o tym niemal w ostatniej chwili.

Ojciec Stanisław był bardzo związany ze swoją rodziną – zawsze bardzo się cieszył, kiedy mógł być z najbliższymi – niemal codziennie o 6-6.30 rano dzwonił do swojej mamy i z nią rozmawiał o tym, co się wydarzyło i miało dzieć – teraz próbują Go w tym wyręczać siostry; błogosławił małżeństwo dwóch swoich najmłodszych siostr – Ewy i Agnieszki; bardzo się cieszył na święcenia kapłańskie i prymicje swojego kuzyna, na których miał zamiar być 30 maja. Fizycznie nie dane mu było być, ale duchem – na pewno.

Ojciec Staszek był pedantyczny i uparty; uczył się metodycznie, nie znosił robienia czegoś po łebkach. Widział każdą plamkę na świeżo upranej koszuli – i trzeba ją było uprać ponownie. Swoim uporem, początkowo irytującym, mobilizował jednak otoczenie do „podciągania się” – a to w posegregowaniu dokumentacji, a to w uporządkowaniu garderoby czy nawet... życia.

Jak wspomina Jego siostra Lidia: to, co kiedyś odbierała jako wadę – teraz, po latach odczytuje jako zaletę.

Mówił, że nie boi się śmierci, ale umierania. W szpitalu, Jego postawą podczas choroby i umierania zbudowani byli wszyscy, którzy się z Nim zetknęli – lekarze, pielęgniarki, odwiedzający.

Jego bliscy ciągle śnią o Ojcu Staszku. Widzą Go uśmiechniętym, radosnym, aktywnym i szczęśliwym...

Opracował bs



Niby takie nic, a jednak...



Początki

O. Staszka Tabisia poznałam bliżej, gdy zaczęliśmy 10 lat temu przygotowania do bierzmowania dla młodzieży, którą uczył w gimnazjum i chciał też rozszerzyć te przygotowania o katechezę w parafii prowadzoną przez osoby świeckie. Poprosił osoby ze wspólnoty neokatechumenalnej, w tym mnie, abyśmy razem z Nim to poprowadzili. Zgodziliśmy się. Nasza znajomość bardzo szybko stała się bliska, bo mówiliśmy podobnym językiem i chcieliśmy młodzieży przekazać podobne proste rzeczy, że Bóg jest w życiu człowieka bardzo konkretny, że kocha każdego bez względu na jego zachowanie i że jest przyjacielem swojego stworzenia.

Niby takie nic, a jednak...

„Już was nie nazywam sługami, bo służba nie wie, co czyni pan jego, ale nazwałem was przyjaciółmi, albowiem oznajmiłem wam wszystko, co usłyszałem od Ojca...” J 15,15

Przygotowania

W pierwszych latach przygotowania były bardzo trudne, młodzież gimnazjalna z buchającymi hormonami i problemami własnej tożsamości, my trochę niedoświadczeni katechiści i On - ksiądz z pasją do pracy z młodzieżą, z ogromną sympatią do młodych gniewnych i zbuntowanych. Pamiętam, że kiedy już nie dawaliśmy rady i młodzież nas zakrzykiwała, przychodził do kaplicy dolnej, stawał na środku i cichym, monotonnym, nudnym głosem mówił, mówił. Mówił, a rycząca młodzież zamieniała się w potulne baranki i owieczki, słuchała, a cisza stawała się przejmująca. Nie krzyczał, nie

uspokajał, nie karcził. Po prostu mówił.

Niby takie nic, a jednak...

„Ja jestem dobrym pasterzem i znam owce moje, a moje Mnie znają.” J 10,11-18

Czapka

Z okazji 15-lecia kapłaństwa kupiłyśmy z koleżanką dwie czapki chroniące od słońca jako upominek dla dwóch kapłanów obchodzących w tym dniu swoją rocznicę. Jedna była biała, a druga brązowa. Powiedziałyśmy, że jako pierwszy o. Staszek może sobie wybrać, tę którą chce. Od razu wybrał białą, ale po chwili stwierdził, że weźmie jednak brązową, bo ta biała będzie się bardziej podobała temu drugiemu. My powiedziałyśmy, że ponieważ jest pierwszy, może wybrać białą. Ale On wziął jednak brązową.

Niby takie nic, a jednak...

„Daj każdemu, kto cię prosi, a nie dopominaj się zwrotu od tego, który bierze twoje...” Łk 6,30

Bierzmowanie

Przeżyliśmy wspólnie z o. Staszkiem kilka takich uroczystości w parafii. Zapamiętałam to tak: Ojciec Staszek cały zdenerwowany, z opadającym na sutannie pasem, z wzrokiem nieobecny, biegający po kościele, doglądający wszystkiego,

pamiętający o wszystkim: o krzyżach dla młodzieży, o kwiatkach dla ks. Biskupa, o procesji darów, o kolacji dla gości, o liturgii, o podziękowaniach. A młodzież jak zwykle słuchająca go w skupieniu, robiąca wszystko co on wymyśli i powie. Nie do poznania wręcz wzorowa! I potem po kolacji kiedy ks. Biskup wychodził, na twarz o. Staszka wracał uśmiech tym razem ulgi i radości, bo po raz kolejny udało się.

Niby takie nic, a jednak...

„Gorliwość o Twój dom pożera mnie.” Ps 69

Przyjemności

O. Staszek zawsze pamiętał o imieninach, urodzinach, dniu kobiet, dniu nauczyciela, dniu strażaka i innych świętach, kiedy mógł przysłać kwiatka, rozkwitającą różę, smsa, życzenia, dać zakładkę do książki, poczęstować czekoladką, przytulić. Lubił ludzi i lubił im sprawiać drobne radości i prezenty. Na ostatnie święta dostałam baranka z wosku, bo powiedziałam, że zbieram takie małe baranki. To był ostatni prezent i ostatnia rozmowa.

Niby takie nic, a jednak...

„Zaprawdę powiadam wam: Wszystko, co uczyniliście jednemu z tych braci moich najmniejszych, Mnieście uczynili.” Mt 25,40





Nerwy

Widziałam też o. Staszka, kiedy się denerwował, wręcz wkurzał, miotał, jak ktoś coś zawałił, nie przyszedł, spóźnił się. Wdać było, że nawet brakowało mu słów ze zdenerwowania i mówił wtedy baaardzo powoli, cedząc słowa. Widziałam, jak z młodzieżą na Boże Ciało budował ołtarz. W środek pokrzykiwał na nich, wszystko sprawdzał i poprawiał, ale w czwartek o 6 rano już targał z nimi na wózkach ten ołtarz i stawiał, a my dopiero szliśmy montować swój. Jak bardzo denerwował się, gdy ministranci coś zawałili lub gdy w czasie uroczystości parafialnej coś nie grało, jak było zaplanowane. Nigdy nie było mu obojętne, że będzie brzydko, że będzie mało uroczyście, byle jak, bo był we wszystko zaangażowany sercem, ciałem, umysłem, duchem.

Niby takie nic, a jednak...

„Przyjrzałem się pracy, jaką Bóg obarczył ludzi, by się nią trudzili. Uczynił wszystko pięknie w swoim czasie, dał im nawet wyobrażenie o dziejach świata, tak jednak, że nie pojmie człowiek dzieł, jakich Bóg dokonuje od początku aż do końca. Poznałem, że dla niego nic lepszego, niż cieszyć się i o to dbać, by szczęścia zanadto w swym życiu...” Koh 3,10-12

Plotki

Czasem o. Staszek dzwonił do mnie i konspiracyjnym głosem przekazywał jakąś informację, która już dawno była tajemnicą poliszynela. Zawsze prosząc o dyskrecję. Tak było też z nominacją o. Wojciecha Ziółka na prowincjała zako-



nu jezuitów. Zadzwoił i szeptem powiedział, że prawdopodobnie o. Wojciech został prowincjałem, ale to tajemnica. Wyrzuciłam uprzejme zdziwienie i zaskoczenie, ale przecież już wcześniej dostałam dwa smsy z tą informacją. Dzwonił też czasem i dyskretnym głosem pytał, czy pamiętamy, iż ten czy tamten ma imieniny, bo miło byłoby solenizantowi gdybyśmy pamiętali.

Niby takie nic, a jednak...

„Wszystko ma swój czas i jest wyznaczona godzina na wszystkie sprawy pod niebem... czas płaczu i czas śmiechu... czas sadzenia i czas wyrwania tego, co zasadzono... czas milczenia i czas mówienia...” Koh 3

Czas

Ojciec Staszek dawał czas, którego miał tak mało, każdemu, kto prosił i był w potrzebie. Kiedyś nie miał nam kto odprawić Eucharystii. Zadzwoiłam do już bardzo słabego o. Staszka z prośbą. Zawahał się tylko moment, bo bardzo źle się czuł, ale przyszedł. Pełen pokory, bólu, cierpienia i bardzo powoli łamał ciało Jezusa Chrystusa i to cierpienie, śmierć i umieranie Jezusa Chrystusa było obecne w sposób przejmujący i szczególny w tej niemocy kapłana. Była to przejmująca Eucharystia. Zdarzyło się też, że potrzebowałam księdza do umierającej w szpitalu mamy kolegi. Zadzwoiłam. Bardzo mnie przeproszał, że nie może, bo jest poza parafią, ale za 5 minut oddzwonił, że załatwił innego kapłana chętnego do tej posługi, bo nigdy nie był obojętny, że ktoś ma problem.

Niby takie nic, a jednak...

„Jak Mnie umiłował Ojciec, tak i Ja was umiłowałem. Wytrwajcie w miłości mojej! Jeśli będziecie zachowywać moje przykazania, będziecie trwać w miłości mojej, tak jak Ja zachowałem przykazania Ojca mego i trwam w Jego miłości”. J 15,8-10

Choroba

Była z o. Staszkiem odkąd go znam, na początku była tajemnicą, potem dolegliwością, o której nie warto mówić, aż następnie stała się przeszkodą w pracy, powodem nieobecności, braku o. Staszka wśród nas. I wreszcie w czasie przeszczepu stała się sprawczynią wielkiej modlitwy całej parafii i zjednoczenia w byciu razem. Ale też miała wymiar sms-ów

przesyłanych ze szpitala np. „a na Francuskiej zaświeciło słońce...” „a na Śląsku nie widać błękitnego nieba...” „dobrego dnia i uśmiechów w pracy...” Każde odowiedziny na „łożu boleści” przyjmował z radością i bez sztucznego krygowania się. Nawet jeśli dostał od czcigodnych parafianek w prezencie ciasteczka, których jako cukrzyk nie mógł zjeść, rozpływał się w zachwycie. A kiedy już bardzo cierpiał, pozwalał sobie na słabość, grymasy, zniecierpliwienie, bunt. Nie udawał mocarza, bohatera czy męczennika. Tak bardzo zawsze był człowiekiem.



Niby takie nic, a jednak...

„Cierpienie terażniejszych nie można stawiać na równi z chwałą, która ma się w nas objawić Rz 8,18

Daty

O. Staszek urodził się 23.09.1963 r. W ten dzień do Nieba odszedł Francesco Forgione znany na całym świecie jako św. Ojciec Pio i taka myśl: Wymienili się? A zmarł o. Staszek jak wiemy 18.05.2009 r. Jest to data urodzin innego Wielkiego Człowieka. 18.05.1920 r. urodził się Karol Wojtyła znany na całym świecie jako Jan Paweł II Papież i taka myśl: A może Pan Bóg chce nam przez to coś powiedzieć?

Niby takie nic, a jednak...

„To bowiem, co jest głupstwem u Boga, przewyższa mądrością ludzi, a co jest słabe u Boga, przewyższa mocą ludzi”. 1 Kor 1,25

No cóż, na koniec napiszę, że zwyczajność o. Staszka bywała niezwykajna i na pewno mieliśmy szczęście. My, którzy znaliśmy o. Staszka i mogliśmy z Nim pracować, radować się cieszyć, spierać się, śmiać się i po prostu być...

Dziękuję Ci Panie Boże za o. Staszka... i opiekuj się Nim tam dobrze.

Danuta Nowak

Wielu mogło powiedzieć: Tato

W poniedziałek Ojciec Proboszcz zwołał nadzwyczajne zebranie Rady Parafialnej. Ustalono, że we wtorek po wieczornej mszy „najstarsza młodzież” przygotowuje rozważania i wspominki o Ojcu Stanisławie.

Joasia Wicińska przygotowała prezentację, w której zdjęcia Ojca Tabisia przeplatane były slajdami z wierszami ks. Twardowskiego, poezją, którą tak bardzo lubił Ojciec Staszek.

Na początku Krzysiu Matolicz, jako pierwszy z „uczniów” Ojca Stanisława, powiedział parę słów o tym, dlaczego to właśnie my przygotowaliśmy wieczór wspomnień. Opowiedział parę faktów związanych z pojawieniem się Ojca Stanisława w naszej parafii prawie 10 lat temu. Był opiekunem ministrantów, założył zespół młodzieżowy. Po każdym świadectwie zespół, jak to mówi Ojciec Grzegorz - „dziecko Ojca Staszka”, śpiewał piosenkę.

Jako pierwsza swoimi przemyśleniami podzieliła się Joasia Wicińska. Ojciec Stanisław był dla niej bardzo bliską osobą. Ostatnie słowa wypowiadała przez łzy:

„Ojca Staszka Pan Bóg postawił na mojej drodze, gdy rozpoczynałam trudny okres dla każdego młodego człowieka – okres dojrzewania. Miałam tysiąc pomysłów na życie, ale żadnego nie byłam pewna. Nie umiałam znaleźć dla siebie miejsca, odpowiedzieć sobie na pytanie – kim jestem? Przyszłam na spotkanie do salki.

Przyszłam na spotkanie do salki Kana przerażona i sparaliżowana nieśmiałością. Okazało się, że i On jest nieśmiały. Do niczego mnie nie namawiał. Pozwolił na własne decyzje. Pod Jego kierunkiem niepostrzeżenie uwierzyłam w siebie, odkryłam wiele talentów. Zaprzyjaźniliśmy się. Mogłam Mu powierzyć każdy sekret i liczyć na mądrą radę i wsparcie.

Zostałam. Dzięki temu zyskałam wielu przyjaciół. Przede wszystkim zyskałam cudownego Ojca. Ojca, który zawsze żyć będzie w moim i w naszych sercach.”

Kolejną osobą była Joasia Krzysztófik,



k która chyba w tym samym czasie co jej poprzedniczka pojawiła się w grupie Jezuitskiego Duszpasterstwa Młodych:

„Ojciec Staszek to był wielki człowiek. To On przyczynił się do mojej przygody z Kościołem. To było dawno temu, ale kto wie, jak wyglądałoby teraz moje życie, gdyby nie On. Dzięki Niemu znalazłam sens w życiu, poznałam wielu wspaniałych ludzi i choć miałam problemy, On zachęcił mnie do życia w Panu. Jestem Mu za to bardzo wdzięczna! Cieszę się, że dane mi było poznać tak wartościową Osobę. Wiem, że teraz jest u boku Tego, którego pokochał i dla którego poświęcił swoje życie! Dziękuję, że byłeś! Na zawsze pozostaniesz w mojej pamięci i moim sercu!”

Przyszedł czas na tych, co mieli kontakt z Ojcem Staszkiem prawie codziennie – niegdyś mali ministranci, dziś już doświadczeni lektorzy. Krzysztof Bober:

”My byliśmy dla Niego, a On dla nas. Gdy potrzebował naszej pomocy czy też obstawy podczas uroczystości kościelnych, zawsze byliśmy do Jego dyspozycji. W zamian Ojciec Staszek organizował dla nas wyjazdy. Mnie osobiście zapadł w pamięć jeden z ostatnich wyjazdów – do Krakowa. Pamiętam jak dziś nasze wspólne oglądanie filmów i jakże dziecinną zabawę w rzucanie się poduszkami, w której Ojciec Stanisław także uczestniczył. To dowód na to, że był człowiekiem radosnym i mającym bardzo

dobrze kontakty z młodymi.”

Jak wiele znaczył dla niego Ojciec Stanisław, świadczy głos łamiący się pod wpływem wzruszenia i łzy dość rzadko widywane na męskiej twarzy.

Filip Olender zaczął swoją opowieść od tego, jak 6 grudnia siedząc na kolanach Ojca Stanisława usłyszał swoje powołanie do bycia ministrantem:

„Ojciec Tabis był dla nas wzorem do naśladowania. Na co sobotnich zbiórkach doskonalili nasze liturgiczne umiejętności, byśmy jeszcze bardziej mogli chwalić i wystawiać Pana. Dziękuję Mu za to, że potrafił nas przygotować do godnej służby przy ołtarzu, ale także za to, że potrafił nam przekazać, co jest w życiu najważniejsze, bo przecież nie da rady iść wieloma ścieżkami naraz.”

Arek Będz – był ministrantem, w którym Ojciec Stanisław dostrzegł duży potencjał. Wspomnił, że Ojciec Staszek wiele razy proponował mu, żeby i on wziął udział w wakacyjnych rekolekcjach, ale niestety każdego roku były inne wyjazdy, ale nie oaza. Bardzo żałował, że nigdy tego nie spróbował.

Na wieczornej Mszy św. w środę, kolejnej w intencji ojca Staszka, starałam się być twarda i nie dopuścić, by łzy znowu polały się z moich oczu. I udało się. Aż do momentu ofiarowania. Wtedy zobaczyłam Arka służącego przy ołtarzu.



Dłużej nie wytrzymałam. To było dla mnie pięknym świadectwem.

Kolejna wypowiadająca się przedstawiła dość odważnie udział Ojca Staszka w swoim życiu. Mimo problemów rodzinnych trwała przy Nim.

Dominika:

„Ojciec Stanisław zjawił się w moim życiu w jednym z najtrudniejszych momentów. Uczył mnie o Panu Bogu w gimnazjum. W ostatniej klasie namówił mnie w końcu, żebym pojechała na oazę. Na początku traktowałam to jak zwykłe wakacje. W Dniu Pojednania z Bogiem to się zaczęło zmieniać. Po wakacjach pojawiły się spotkania młodzieży i Msze św. Ojciec Stanisław był jedną z pierwszych osób, której powiedziałam o moim cierpieniu. Pochodzę z patologicznej rodziny. Mama jest alkoholiczką, znęcała się nade mną i siostrą. Wstydziałam się tego, sąsiedzi mnie wytykali. Ojciec Stanisław był pierwszą osobą, która uświadomiła mi, że to nie jest moją winą. Nauczył mnie szanować samą siebie, kochać siebie. Wspierał mnie w najtrudniejszych momentach i decyzjach, na przykład wtedy, kiedy zaraz po maturze wyprowadziłam się z domu. Dzięki Niemu miałam co jeść. Dodawał mi otuchy. Później nasze drogi się rozeszły, ale zawsze na święta pamiętał o mnie. Myślę, że fakt, iż jesteśmy tutaj teraz wszyscy, tylko dla Niego, świadczy jak wspomniał bym człowiekiem.”

Paweł Godorowski to przedstawiciel tej części młodzieży, która prawie od początku jeździła z Ojcem Staszkiem na wakacje i inne wyjazdy. Jego wypowiedź dowodzi tego, jaką siłę przekonywania miał Ojciec Staszek, gdy ponad cztery lata temu przekonał grupkę studentów do poświęcenia swojego wolnego czasu na zaangażowanie się w działalność Rady Osiedla:

„Próba oceny mojej relacji z Księdzem Stanisławem wydaje się najprostsza właśnie w tej chwili, już po jego śmierci, w

chwili gdy pojawił się smutek i wyciszenie – one najlepiej udowadniają, że był mi bliski. A był szczególnie bliski gronu najstarszej „młodzieży” naszej parafii. Nasuwają mi się tutaj najświeższe wspomnienia z ostatniego wyjazdu z Księdzem – do Pasterki w grudniu ubiegłego roku, wyjazdu, który uświadomił nam jak i my jesteśmy Mu bliscy. Traktuję ten wyjazd jako najpiękniejsze z możliwych pożegnań Księdza Staszka z tymi, których najdłużej prowadził duchowo w naszej parafii poczynając od oazy w Bydlinie.

Zawdzięczamy Mu najlepsze i najgłębsze wakacyjne wspomnienia, wiele trwałych przyjaźni – z których tą szczególną była przyjaźń z Księdzem Staszkiem. Myślę, że dzięki właśnie tej przyjaźni życie wielu z nas jest teraz piękniejsze i bardziej prawdziwe. Życie Księdza Tabisia wiąże się z setkami innych wspaniałych wspomnień, które głęboko zakorzeniły się w sercu każdego z nas i na zawsze już tam pozostaną.”

Marek Witek – wydawałoby się „zaufany człowiek” Ojca Staszka, a jednak przyznał się do sytuacji, w której namieszał w kartach Ojca Stanisława i to dosłownie. Większość z nas wie, że Ojciec Stanisław był zawsze bardzo dobrze przygotowany do każdej Mszy św., zwłaszcza jeśli chodziło o kazanie. Pisał je na komputerze i drukował na kartach formatu A5. Pewnego razu złośliwy chochlik podpowiedział Markowi, żeby pozamieniać kolejność kartek ułożonych przy lekcjonarzu. Po Ewangelii Ksiądz Tabis spojrzął na kartki i pełen przerażenia zaczął je przekładać i szukać odpowiedniej kolejności. Na tej Mszy powiedział kazanie z pamięci. Ale od następnej, kartki „wspomagające” były już ponumerowane.



Agata Draus wspomniała, jak Ojciec Staszek lubił czasem ingerować w związki miłosne tworzące się w parafii. Obserwował nas, czasami sam kogoś upatrzył i łączył w pary. Niektóre przetrwały do dziś, a nawet zostały uwieńczone sakramentem małżeństwa.

Dla mnie Ojciec Stanisław, podobnie jak Ojciec Andrzej Nowak, był ciepłą i pełną miłości osobą, do której wielu z nas mogło powiedzieć: „Tato”. Ci dwaj przyjaciele pojawili się u nas wiele lat temu. Nie tylko ich wygląd ukazywał nam jak bardzo przeciwieństwa się przyciągają ;) Ojciec Andrzej otwarty od początku na wszystkich, uwielbiał przytulać dzieci, Ojciec Staszek uczył się tego z czasem. Gdy pojawił się na Alei Pracy był dość nieśmiały i podchodził do nas z dystansem. Z każdym miesiącem zaczynał nam



ufać i do nas się przekonywać, a nawet i dzieciom pozwalał już siadać na kolanach :)! Pewnego razu w parafialnej kawiarence, gdy jedna z dziewczynek ze scholi wgramoliła mu się na kolana zachwycona wodą kolońską Ojca Staszka powiedziała: „Ładnie ksiądz pachnie”. Mimo, że było to już po kilku latach posługi w naszej parafii, Ojciec chyba wciąż jeszcze nieśmiały, po tym komplementcie zawstydział się i uciekł do swojego pokoju. Dopiero na wyjazdach wakacyjnych, okazywało się, że to człowiek skory do żartów, który lubił płatać figle.

Wigilia, oprócz rodzinnych spotkań, zawsze kojarzyła mi się z tradycyjnym (zapoczątkowanymi przez Ojca Staszka) spotkaniami młodzieży w salce Kana, na których składaliśmy sobie życzenia. Te od Ojca Stanisława były indywidualne, każdego znał już na tyle, że wiedział, jakie mamy problemy i jakie talenty.

Choć powtórzę po moich poprzednikach, ale wspomnę jeszcze raz – dzięki Niemu poznaliśmy siebie, Boga i wielu wartościowych ludzi. Życie każdego z nas zostało skierowane na piękną drogę i choć Jego nie ma już przy nas, my dalej możemy nią kroczyć. I może kiedyś na jej końcu znów ujrzę stojącego na ganku Ojca Staszka, który zawoła z uśmiechem: „Kryyyyyyyyyysia” i przytuli do serca.

Spisała Magda Krychowska

Zdrowe ryby płyną pod prąd

Niespełna rok temu Ojciec Staszek mówił mi kazanie na prymicyjnej Mszy we Wrocławiu, z tej ambony. I miał łatwiej niż ja dziś.

Od dwóch lat idę u boku o. Staszka. W dobrym cieniu. I to dzisiejsze kazanie jest dla mnie bardzo trudne. Mam je powiedzieć przed ludźmi, którzy znali Go sto razy lepiej ode mnie. Przyjmijcie wszystko, co powiem, jako świadectwo młodego jezuitę, współbrata Staszka, młodego księdza, młodego moderatora wspólnoty młodzieżowej, która jest Jego dzieckiem.

W dzisiejszej Ewangelii Jezus żegna się z najbliższymi. My słowo pożegnania przerabiamy w tych dniach na różne sposoby. Jezus, jak każdy człowiek, czuł ograniczenie, że nie da rady wszystkiego powiedzieć, zapowiada więc Ducha Pocieszyciela, który dopowie resztę.

I to jest pierwsza sprawa. Chcieć, po tym pierwszym czasie pożegnań, przypomnieć sobie, co Ojciec mówił i tym żyć. A mówił, albo raczej pokazywał, wiele. Mówił, po swojemu: *Walcz, nie daj się przeciwnościom i bądź wierny Panu.*

Staszek bardzo się denerwował, choć był wyrozumiały, jak ktoś jedno mówił, a drugie robił. Denerwował się, kiedy ktoś próbował sprzedać, zamiast rzeczywistej zmiany, miłe słówka i sentymentalne łyzy. A więc powyciągajmy z naszych głów te wszystkie dobre słowa, przede wszystkim świadectwo Jego życia i róbmy tak, jak mówił.

Duch, o którym mówi Jezus, otoczy Go chwałą, Duch, który przyjdzie, dopełni w nas Jego dzieła. I znów, myślę, podobnie jest z Ojcem. Chyba każdemu i każdej z nas zależy, by pamiętać o Nim była wielka i trwała. Będzie taką tylko wtedy, kiedy weźmiemy się do roboty. Kiedy uda nam się dopełnić to, o czym On mówił. Wtedy Jego chwa-

ła, która płynie od Pana Jezusa, będzie wielka i trwała, nie tylko chwilowa i sentymentalna.

Trzeba zakasać rękawy i zmieniać najpierw swoje myślenie o życiu, a później czyny. Cierpienie Ojca Staszka pokazało wyraźnie, że nie liczy się w życiu przyjemność, wolność bez granic, ale liczy się zaufanie Panu Jezusowi do końca. Kiedy umierał, miał w ręku ściśnięty obrazek „*Jezu, ufam Tobie*”. I o to idzie. Ufać Mu do końca. Ufać, w byciu innym, ufać wtedy, kiedy ludzie mówią, że można inaczej, luźniej, egoistyczniej. To znaczy chrześcijaństwo, to znaczy dopełnienie życia Ojca Staszka.

Staszka poznałem niecałe dwa lata temu. Pierwszy raz słyszałem Go przez telefon. Ja wtedy świeży diakon, na targu z Mamą, On słynny duszpasterz, leżący w szpitalu na Koszarowej. Nic z tej rozmowy nie rozumiałem, co było znakiem dla mnie, że łatwo może nie być. Zaprosił mnie wtedy na rekolekcje z młodymi.

Pierwsze miesiące ze Staszkiem, to było swoiste obwąchiwanie się. On z doświadczeniem, ja młodzik. Wiadomo było, że mam Go w przyszłości zastąpić. To jest trudne dla wszystkich. Jednak zawsze da-

wał mi do zrozumienia, że chce pomóc.

Był dla mnie często trudnym i wymagającym nauczycielem. Te prawie dwa lata było dla mnie uczeniem się dystansu do siebie samego, do swoich ograniczeń. Uczeniem się, że nie ja się tu liczę, ale Pan Jezus. Uczyl mnie też tego, że kiedy dwaj jezuitę współpracują, to trzeba być lojalnym. Trzeba czasem nie zwracać uwagi na siebie, a na tego drugiego właśnie. Staszek pokazywał różne możliwości pracy z młodymi, dawał wiele pomysłów, sugestii. Ja uczyłem się czerpać z Jego doświadczenia, On zaś uczył się odchodzenia od tej pracy tutaj, szukania sobie nowego miejsca wśród nas.

Ten czas naszego wspólnego pracowania we Wrocławiu był przerywany przez pobyty w szpitalu. Kiedy tam lądował, często rozmawialiśmy o młodych, o pracy z nimi. Szczególnie pierwszy rok był uczeniem się ludzi, każdego z osobna. Był jak dziadek, do którego jedzie się pogadać, poradzić, posłuchać. I jak to z każdym dziadkiem bywa, nie zawsze się zgadzaliśmy.

Drugi rok był inny. Był, z mojej strony, odcinaniem pepowiny, odchodzeniem do swojego sposobu pracy i myślenia. I to było trudne. I dla Ojca Staszka i dla mnie. Jednak wydaje się, że dobrze przeżyliśmy tę próbę. W marcu mieliśmy okazję o tym pogadać. Wyjaśnić pewne trudne sytuacje.

I w końcu, ostatnie dwa tygodnie. Bardzo szybka zmiana. Widziałem cierpiącego. Takiego, który przyjmuje cierpienie, ale nie z uśmiechem na twarzy, tylko z prostym, ciągłym odnośzeniem się do Boga w modlitwie, w której nieraz kłócił się ze swoim Mistrzem, a jednak ofiarował swoje cierpienie za zakon i młodych.

Szkola ostatnich dni polegała na wypełnieniu tego, co



mówi Jezus do Piotra: *Kiedy się zestarzejesz, przepasz cię i pójdziesz tam, gdzie nie chcesz.* Pan zabierał Mu z dnia na dzień wszystko. Siły, uśmiech, kontakt z ludźmi, wolę, po ludzku rozum, w końcu życie. Tak jak Ojciec prosił Jezusa już w nowicjacie, mówiąc:

*Zabierz, Panie i przyjmij
całą wolność moją,
pamięć moją i rozum
i wolę mą całą,
cokolwiek mam i posiadam.
Ty mi to wszystko dałeś,
Tobie to, Panie, oddaję.
Twoje jest wszystko.
Rozporządzaj tym w pełni,
wedle swej woli.
Daj mi jedynie
miłość twą i łaskę,
albowiem to mi wystarcza.*

Po długich mękach, w końcu nad ranem w poniedziałek, o 5.07, z obrazkiem „*Jezu, ufam Tobie*”, odszedł do Ojca.

Dziś w psalmie modliliśmy się słowami uwielbienia. Chwalcie Pana z niebios. To jest sedno tego spotkania dziś. Chwalić Pana za Ojca Staszka. Był człowiekiem dobrym, był jezuitą i księdzem. Całe swoje życie naznaczone chorobą poświęcił mówieniu, pokazywaniu, tak jak potrafił, że warto iść za Jezusem, że warto dla Jezusa stracić coś z siebie. I nie tylko w słowie, ale konkretnie w czynie, w szacunku dla drugiej osoby.

A więc chwalmy Pana dziś, za świadka Miłości i idźmy czynić, żyć pobożnie, to znaczy zawsze i wszędzie z Bogiem. Nie z ulotnymi wspomnieniami w albumach, blogach i na naszej klasie, ale w konkretnie chodzenia za Panem, w wierności Jemu, nawet wtedy, kiedy jest kiepsko, kiedy wszystko, po ludzku, się rozpada. Tak żył Ojciec Staszek. A my nazywamy się Jego przyjaciółmi. Przyjaciel chce być podobny do swojego przyjaciela. Za pragnieniami niech idą decyzje, a za decyzjami robota.

*Tylko martwe ryby płyną z prądem –
Twój wybór!*

Amen.

W piątek 22 maja sala Duszpasterstwa Młodzieży MAGIS, w domu katechetycznym, została nazwana imieniem o. Stanisława Tabisia SJ.

Dezyderata

Krocz spokojnie wśród zgiełku i pośpiechu, pamiętaj jaki spokój może być w ciszy.

Tak dalece jak to możliwe, nie wyrzekając się siebie, bądź w dobrych stosunkach z innymi ludźmi.

Prawdę swą głoś spokojnie i jasno, słuchając też tego, co mówią inni: nawet głupcy i ignoranci, oni też mają swą opowieść.

Jeżeli porównujesz się z innymi możesz stać się próżny lub zgorzkniały, albowiem zawsze będą lepsi i gorsi od ciebie.

Ciesz się zarówno swymi osiągnięciami jak i planami. Wykonuj z sercem swą pracę, jakkolwiek by była skromna. Jest ona trwałą wartością w zmiennych kolejach losu.

Zachowaj ostrożność w swych przedsięwzięciach - świat bowiem pełen jest oszustwa. Lecz niech ci to nie przesłania prawdziwej cnoty; wielu ludzi dąży do wzniosłych ideałów i wszędzie życie jest pełne heroizmu.

Bądź sobą, a zwłaszcza nie zwalczaj uczuć; nie bądź cyniczny wobec miłości, albowiem w obliczu wszelkiej oschłości i rozczarowań jest ona wieczna jak trawa.

Przyjmij pogodnie to, co lata niosą, bez goryczy wyrzekając się przymiotów młodości. Rozwijaj siłę ducha, by w nagłym nieszczęściu mogła być tarczą dla



ciebie. Lecz nie dręcz się tworam wyobraźni. Wiele obaw rodzi się ze znużenia i samotności.

Obok zdrowej dyscypliny bądź łagodny dla siebie. Jesteś dzieckiem wszechświata: nie mniej niż gwiazdy i drzewa masz prawo być tutaj i czy to jest dla ciebie jasne czy nie, nie wątp, że wszechświat jest taki jaki być powinien.

Tak więc bądź w pokoju z Bogiem, cokolwiek myślisz o Jego istnieniu i czymkolwiek się zajmujesz i jakiegokolwiek są twe pragnienia; w zgiełku ulicznym, zamęcie życia, zachowaj pokój ze swą duszą.

Z całym swym zakłamaniami, znojem i rozwiyanymi marzeniami ciągle jeszcze ten świat jest piękny...

Bądź uważny, staraj się być szczęśliwy.



To był dla mnie ktoś niczym wujek, tato. Poznałam go, gdy miałam 15 lat- w momencie dorastania. I przez cały okres dorastania BYŁ PRZY MNIE, przy NAS młodych. To on wyrobił w nas pewne postawy, nawyki, nauczył własnego chrześcijańskiego, zdania. Przytulał i wysłuchiwał, gdy płakaliśmy, ostro ale z miłością karcił, gdy narozrabialiśmy. Taki TATUSZ. Bardzo go kochałam.

J.W.

Numer specjalny Głosu Pocieszenia. Redaktorzy prowadzący numeru: Iwona Kubiś, Bogdan Szyszko. Redaktor naczelny Głosu Pocieszenia – Bogumił Nowicki. Projekt graficzny okładki – Marcin Kisiecki. Korekta: Anastazja J. Drath. Skład i łamanie tekstów – agencja reklamowa b-en. Zdjęcia: archiwum Rodziny, Głosu Pocieszenia, Magis-u, zbiory prywatne.

Serdecznie dziękujemy za pomoc w przygotowaniu niniejszego numeru wszystkim, którzy w bardzo krótkim czasie przystali nam zdjęcia i teksty do opublikowania, a szczególnie Siostram o. Stanisława, dawnym i obecnym członkom Jezuickiego Duszpasterstwa Młodzieży „Magis” oraz o. Prowincjałowi Wojciechowi Ziółkowi SJ.

Uroczystości pogrzebowe śp. o. Stanisława Tabisia SJ – 21.05.2009 r.

